

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odosłanie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 25 kop.; Kronika towarzysząca, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

Adres Redakcji: WARSZAWA, ZGODA № 1.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 16 z dnia 21 kwietnia 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

OKRYCIA
KOSIUNY
SUKNIE
BLUZKI

BRACIA JABŁKOWSCY
MATERIAŁY WŁÓKN. BAWELNY JEDWABIE
BIELIZNA
DAMSKA, ME. SKA, DZIECIĘCA i
WYPRAWY ŚLUBNE
OD 300 RP.
OBUWIE DAMSKIE i DZIECIĘCE.

ŚCIENNI DLA PANIENEK — UBRANIA DLA CHŁOPCÓW.

10261

Wstęp do politycznego myślenia.

Z chwilą, gdy otwierać się poczynać szersze horyzonty dla polskiego życia politycznego, pytanie, postawione przez nas w tytule, nabiera wagi i znaczenia. Czy polityka jest w całości swej sztuką, darem, intuicją, czemś, z czem już na świat człowiek przyjść musi i co praktyka i okoliczności jedynie rozwinąć mogą, a bynajmniej nie stworzyć? Czy też jest w politycznej działalności, jak ją historia pokazuje, jakiś czynnik bliżej określić i ująć się dający, któryby mógł stać się dla obserwatora uczonego przedmiotem badania i treścią dla osobnej gałęzi wiedzy?

Kwestya ta, wątpliwa jeszcze dla myślicieli z połowy ubiegłego stulecia, dziś napewno jest przesądzoną. Polityka jest i sztuką i nauką. Jest sztuką, która nauce dostarcza faktów do badania; jest nauką, która sztuce dostarcza tem mocniejszego oparcia dla praktyki. Istnieją na różnych uniwersytetach katedry polityki. Księgarnia posiada na składzie traktaty o polityce, w nie mniej imponujące foliały ujęte, jak podręczniki matematyczne, biologiczne, fizyczne. Wychodzą peryodyczne publikacje, poświęcone polityce wyłącznie. O istnieniu polityki, jako osobnej gałęzi wiedzy, wątpić dziś nie można.

Otóż to nakłada na naszych polityków, poczynszy od naszych mę-

zów stanu, pewien obowiązek, z którego, jak miałem okazję sprawdzić, bardzo mało sprawę sobie zdają: winni się kształcić, nie tylko w samym ogniu praktyki, ale także i przy umiarkowanym a życiodajnym ognisku teoretycznego dopełniania swych skąpych z konieczności wiadomości.

Jest to dość paradoksalnem, że uczeni świata tak długo ociągali się z przyznaniem polityce praw obywatelstwa w naukowej rzeczypospolitej, podczas gdy już prapradziad nasz grecki, genialny Arystoteles, naukową politykę stworzył w osobnym traktacie. Ruchliwe, niespokojne, oscylujące między anarchią a tyranią życie polityczne greckie dostarczyło mu dość różnorodnego materiału do obserwacji. Zna on już z doświadczenia monarchię, oligarchię, demokrację, rządy jednego, kilku i wielu, ocenia dobre i złe strony każdego z tych systemów, wnioskuje, który ze złych systemów rządzenia jest najmniejszym złem. Ośławiony Makjavel, którego dzieło „Il principe” (książkę) do dnia dzisiejszego nie przestało ludzi niepokoić, był jakby wiwisektorem polityki. Nikt bardziej od tego okrutnego psychologa średniowiecznego nie odsłonił do naga całej marności i całego egoizmu ludzkiej ułomnej natury. „Na tej to naturze musicie budować swoje dzieło, o politycy!” rzekł wszystkim

tym, którzy do rządzenia ludzkim gatunkiem się zabierają. Coś fatalnie pozostało dotychczas w myślach ludzkich po tej dziwnej książce genialnego florentyńczyka. Zapytajcie któregośkolwiek z czynnych polityków, pewne doświadczenie za sobą mających, co mniemają o kunszcie politykowania?

Każdy wam powie niezawodnie, że jest to „sztuka smutna”.

Czy uda się nauce przekształcić ją kiedykolwiek na „wiedzę radosną”?

Pomimo nieśmiertelnych prac Arystotelesa i Macchiavellego, dopiero około połowy XIX w. zrodziło się przekonanie, że zjawiska polityczne dają się badać tak samo, jak wszelkie inne i że archiwa historyi podają fakty, nie mniej spreparowane do beznamietnej obserwacji, jak muzea anatomii albo geologa. W Niemczech za twórcę umiejętnej polityki uważany jest Dahlmann, który wydał w r. 1835 „Ogólne podstawy życia państwowego”. Ale dopiero Weitz w r. 1862 wypuścił w świat pierwszą „Politykę”. Od tego czasu ukazało się parę dziesiątków traktatów pod tym tytułem, w samych Niemczech, które i w tej dziedzinie wyprzedziły innych.

Ktoby pragnął poinformować się, jak ta sprawa stoi obecnie w Niemczech, temu dobrej okazji dostarcza oto p. Adolf Grabowsky, znany pisarz polityczny, który wydał świeżo książkę p. t. „Wstęp do politycznego myślenia”. Autor w dziedzinie ba-

dań politycznych jest już znany i od ośmiu lat prowadzi w Berlinie, wspólnie ze Schmidtem, jedno z pism, poświęconych postępowi naukowej polityki.

Odróżnia on przedewszystkiem Politykę od Nauki o Państwie (*Staatslehre*), które to pomieszanie dwóch niezawodnie różnych dziedzin przez długi czas przeszkadzało usamodzielnieniu się nauki o polityce. Ale to odróżnienie musi się wydawać nam nader wątpliwej wartości naukowej. Czuć w niem bodaj — nacyonał-liberała niemieckiego. Według Grabowskiego nie tylko za politykiem praktycznym, ale i za teoretykiem politycznym stoi wola, jako czynnik. A więc jednemu wola poddaje czyny, drugiemu idee. Zatem profesor polityki na swej katedrze i autor traktatu polityki w swem dziele jest tylko działaczem politycznym, podobnie, choć w inny sposób, jak np. kanclerz państwa albo przodownik partii.

Ten pogląd unicestwiałby Politykę, jako naukę. Na szczęście, jest on osobistą własnością zniemczalonego autora, który zdradza tu połowiczność swej natury. Poważniejsi uczeni niemieccy stają na bardziej klasycznym gruncie, właściwym wszelkiemu badaniu prawdziwie naukowemu. Choć nie zapoznają bynajmniej żywego związku, jaki teoria polityki

musi zachowywać z praktyką politykowania. Dla przykładu podajemy tu określenie Polityki, od którego rozpoczyna się praca prof. Zorna „Polityka, jako sztuka i umiejętność”. Mówi on:

„Polityka jest zdolnością duchową pojmowania państwa i jego publicznego życia i sztuką oddziaływania zgodnie z tem pojmowaniem na państwo i publiczne życie narodu.

„Stąd wypływa naukowe pojęcie Polityki: Polityka jest nauką, która powyższe pojmowanie udostępnia i przez to wskazuje drogi takiej praktycznej działalności”.

Różnica jest znamienita i sama już odsłania, że w świecie naukowym niemieckim istnieją jakby dwa badawcze kierunki, jeden wierny metodom obiektywnego, drugi usiłujący samą czystą nauką zaprzadzić do rydwanu politycznych namiętności. U Grabowskiego wola kieruje myślami uczzonego, u prof. Zorna zdobycze nauki oświecają wolę. Pokrewne zresztą Zornowi poglądy na istotę nauki polityki wypowiada Rehm, profesor Strassburgski, i Wygodziński, profesor w Bonn.

Niemniej z pracy Grabowskiego wiele się dowiedzieć można. Tego przedewszystkiem, że zadania polityczne w swej ogólności są przedmiotem intensywnego myślenia w

świecie cywilizacji i wywnioskować stąd, że jeżeli we wszystkich prawie dziedzinach pozostaliśmy mniej albo więcej w tyle po za głównymi ogniskami twórczej i krytycznej myśli, w dziale nauki polityki zdajemy się prawie nie dostrzegać, że jest tu droga, i że po niej kroczy jakiś postęp. Na polskich uniwersytetach Galicyi jest trochę w tym kierunku ruchu, ale prawie wyłącznie około nauki o państwie się on wiąże (Roztworowski, Kutrzeba, Peretjatkiewicz, Buzek). Samodzielniej politykę traktowali Miłowski i Makarewicz. Praca niemieckiego polityka, mimo to, co by jej z naukowego punktu widzenia zarzucić można, ma tę zaletę, że wyodrębniła i rozgraniczyła przedmiot polityki, pomieszany dotychczas jeszcze, nawet w gruntownych pracach, z przedmiotem historii, prawa państwowego i socjologii. Wykazuje też ona, jakim złudzeniem były dążenia Buckla, Marksa i innych myślicieli, usiłujących metody przyrodnicze stosować do duchowych, politycznych zjawisk. Daje wreszcie dość sporą garść informacji pierwszych o literaturze przedmiotu. Jest nie wielka i jasna. Ma sporo danych na to, że może „otworzyć oczy” polityków naszych na świat Polityki, którego nie jeden ani się domyślał dotychczas.

Wincenty Kosiakiewicz.

Z Wystawy Legionowej w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.



Fot. A. Mastowski

L. Winterowski. „Pościg”.



Fot. A. Masłowski.

J. Skotnicki. „Druga brygada”.



H. Uziembło. „Na stanowisku obserwacyjnym”.



J. Skotnicki. „Stara piosenka”.



Fot. Maryan Fuks.

Zjazd Techników.

Nie dało się, z racy wojennych stosunków, odbyć zwykłego, kolejnego zjazdu techników polskich z całego świata, jaki to w 1914 roku uchwalono w Krakowie. Musiano się więc kontentować prostym zjazdem nadzwyczajnym, który umiał przecież zgromadzić około tysiąca inżynierów (u nas każdy technik jest inżynierem), z dwustu przeszło miejscowości. Było to imponujące.



Inż. Alfons Kühn, inicjator zjazdu i prezes Komitetu organizacyjnego.

Referatów przygotowano i przyniesiono setkę z czubem, — co jednak uważać należy za mniej imponujące. Rozpraszały one pracę zjazdu, który nie zdołał się skupić wokoło zadanego tematu: odbudowy kraju. Napiętrzone też masy wniosków, między którymi były albo identyczne, albo sprzeczne. Powierzono więc je wszystkie komisji wykonawczej do „opiłowania, dopasowania i wypolerowania“, jak wyraził się jeden ze sprawozdawców językiem technicznym.

Zjazd miał mimo to wielkie znaczenie kształcące i informacyjne. Poruszono na nim mnóstwo spraw technicznych, a bodaj że nie było ani jednej, któraby nie posiadała swej strony społecznej, jakiegoś żywego związku z narodowym życiem. Nawet tak suche i specjalne, sądząc z tytułu sprawy, jak miernicze, monetarne, elektryfikacyjne lub eksperytowe, odśladziały przed słuchaczami, nieraz niespodziewanie, perspek-

tywy i głębie, przeświecone narodową ogólną myślą. Inż. Drzewiecki słusznie zauważył, że „technika ma związek z całym gospodarstwem narodowym“. Co inż. Wierzbicki nader umiejętnie pogłębił żądaniem, aby ta całość była solidarną, rozumną i celową, aby gospodarka społeczna posiadała więc swoją własną i właściwą politykę. Te idee można było wogóle pogłębić jeszcze, wiązać technikę nie tylko z gospodarczą stroną życia narodowego, ale i z polityczną i z kulturalną i historyczną, wogóle z całym życiem narodowym.

Nie chcemy zarzutu z tego robić zjazdowi, ale zaznaczyć może należy, iż przemówienia uroczyste dźwięczały dziwnie suchymi, szablonowymi tonami. Uogólnień jakichś, pogłębień, myśli świeżych i lotnych, próżnoby ucho dosłuchiwało się. Niesłychany, pełen niespodzianek, przekraczający tylu stronami rozwój techni-



Pierwsze plenarne posiedzenie. Przewodniczący Komitetu organizacyjnego i główny organizator zjazdu inż. Kühn (x).

ki współczesnej daje jednak nader wdzięczne pole w myśli bystrej do wycieczek w krainę intelektu.

Zaznaczmy jednakże, iż po za dziedzinę ścisłego, choć najobszerniej pojętego gospodarstwa, wyszedł inż. Gnoiński, przedstawiając wadliwe funkcjonowanie sądowych ekspertyz technicznych, a dalej rozwój międzynarodowego arbitrażu w sporach przemysłowych, na gruncie technicznym wznieconych.

Pouczających referatów, prawdziwych wykładów akademickich, silnie skoncentrowanych (mówcy dawano tylko piętnaście minut czasu), wysłuchaliśmy sporo. P. Szczepański między innymi przedstawił nam plastyczny obraz warunków przemysłowych Galicyi, a p. Moczulski — Litwy i Białorusi. Zjazd poznał całą olbrzymią doniosłość wykupu węglowych terenów przez kraj, co zmieni do gruntu motorowe i opałowe stosunki galicyjskie. Mniej pomyślnie

Prezydium Zjazdu Techników.



Prezydium Zjazdu: (od strony lewej ku prawej) pp. L. Buszkowski, Józef Natanson, Ignacy Radziszewski (przewodniczący), I. Heurich i St. Łukasiewicz. Fot. Maryan Fuks.

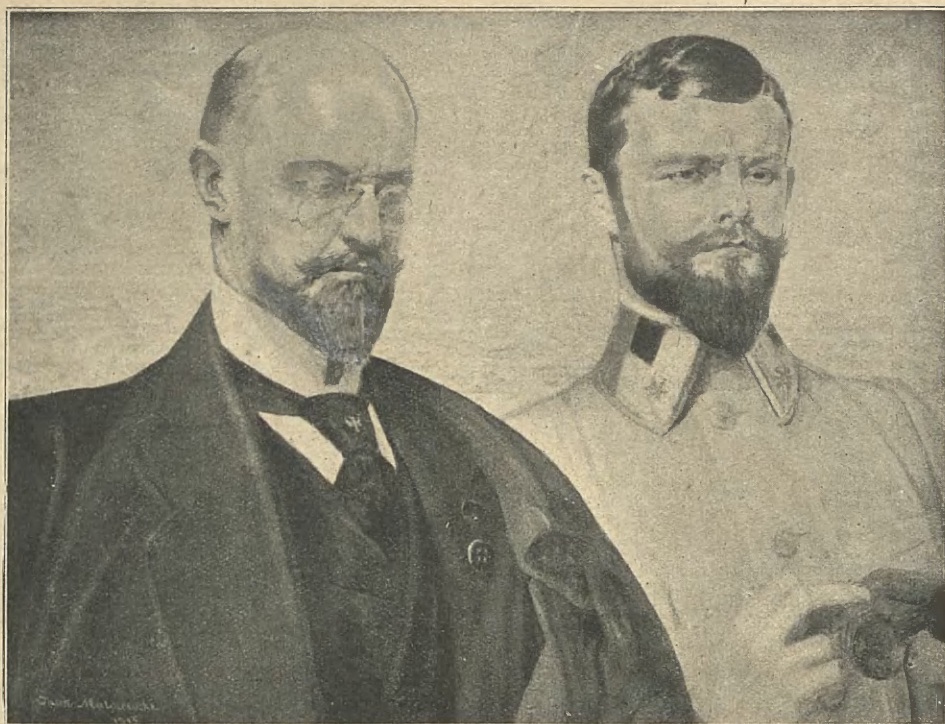
zabrzmiwały wieści o terenach naftowych: i te się koncentrują, ale w obcych rękach. Jednakże naftowy przemysł mocno się rozwija, zwłaszcza w czasie wojny, i w ciągu lat ostatnich sześciokrotnie wartość swoją powiększył. A galicyjscy wiertacze zyskali sobie sławę wszechświatową.

Zjazd techników inicjatywę zawdzięcza inż. Kühnowi. Prezesem zjazdu obrano inż. Radziszewskiego. Plenarne zebrania odbywano w ratuszowej sali, a ostatnio w Filharmonii. W gmachu techników pracowały cztery osobne wydziały specjalne, każdy przepelniony referatami. Miasto okazało zjazdowi gościnę wyjątkową. Teatr Wielki dał specjalne przedstawienie dla techników, „Verbum nobile“ i „Wesele w Ojcowie“. Prace zjazdu nie wiele dawały czasu na obejrzenie urządzeń miejskich. W ostatnim dniu obejrzano szkołę zrzeszenia techników: Gimnazjum Staszica, wykończone w czasie wojny. Jest wzorowe oczywiście, ale ciąży na niem 40 tys. rb. długu.

Vars.



Z Wystawy Legionowej w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych.



Fot. A. Masłowski. J. Malczewski. „Dwa pokolenia“: Jerzy hr. Mycielski i podpuł. Żymirski.

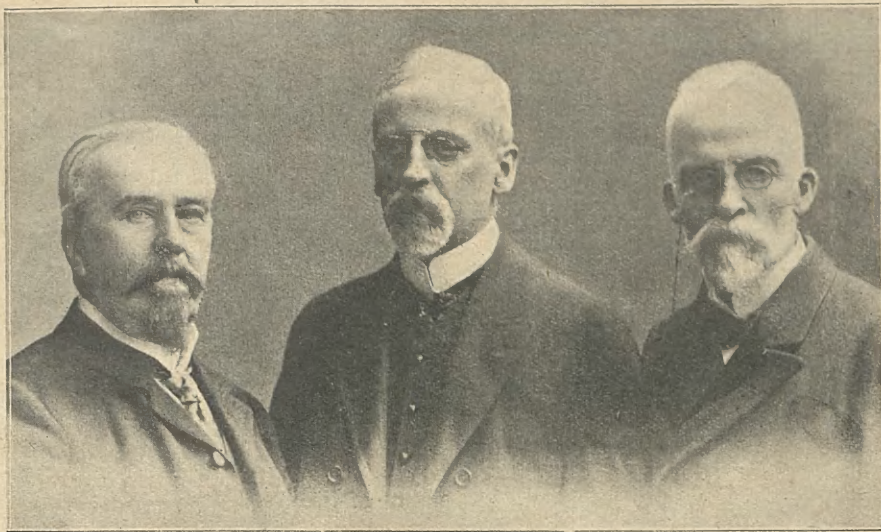
Zakończenie polskich kursów lotniczych.



Fot. Maryan Fuks.

Grupa uczestników kursów lotniczych z profesorami i głównym inicjatorem kursów inż. Z. Deklerem na czele.

Trzej opiekunowie Śląska.



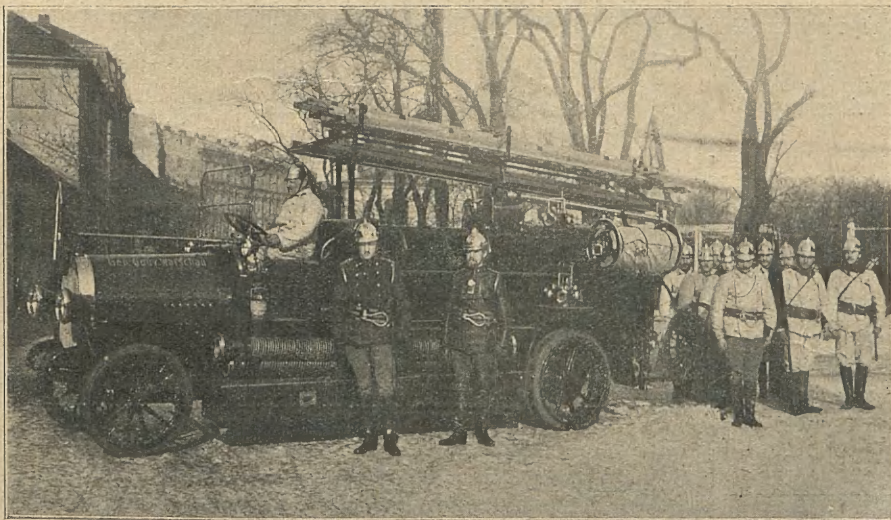
Polacy w Austrii domagają się przyłączenia Śląska cieszyńskiego do wyodrębnionej Galicji. Zamieszczamy podobny głównych działaczy w tej sprawie: Dr. Hassewicza, Henryka Sienkiewicza i Mec. Osuchowskiego.

Tablice drogowe z polskimi napisami.



Za staraniem starosty Dunikowskiego, w obwodzie Piotrkowskim, ustawiono drogowaskazy z napisami w języku polskim.

Z gospodarki miejskiej st. m. Warszawy.



Fot. Maryan Fuks.

Nowosprowadzony samochód straży ogniowej dla Wielkiej Warszawy.

Ś. p. dr. Mieczysław Kaczorowski.

W 31-ym roku życia zmarł w Warszawie ś. p. dr. Mieczysław Kaczorowski, lekarz miejscowy szpitala św. Stanisława, a zarazem lekarz sanitarny 6-go okręgu.

Zmarły po ukończeniu studiów lekarskich w Dorpacie, poświęcił się niemal wyłącznie sprawom sanitarnym, pracując na początku wojny w instytucjach sanitarnych Komitetu obywatelskiego m. st. Warszawy, ostatnio zaś w wydziale zdrowia publicznego, wszędzie rozwijając gorliwą i wydatną działalność. Zamiłowany w swej specjalności, z jasnym, praktycznym umysłem, łącząc wiele przymiotów serca, ś. p. dr. Kaczorowski należał do typu pracowników, przed którymi otwiera się dziś ogromne pole pracy.



Dr. Ludwik Zamenhof.

Dnia 14 b. m. zmarł w Warszawie znany twórca języka międzynarodowego, dr. Ludwik Zamenhof.

Urodzony w Białymstoku w r. 1859, już na ławie gimnazjalnej myślał o stworzeniu języka, za pomocą którego mógłby się porozumieć cały świat. Studiował następnie medycynę na uniwersytecie warszawskim, który ukończył w roku 1884. Dr. L. Zamenhof cały swój czas wolny od zajęć lekarskich poświęcał pracy nad kształtowaniem nowego języka. Dopiero wszakże w r. 1887 ogłosił swój „Podręcznik kompletny języka międzynarodowego” w czterech językach: polskim, francuskim, niemieckim i rosyjskim. Język ten, któremu twórca jego, dr. Zamenhof, od pseudonimzu swego pisarskiego nadał nazwę „esperanto”, opierający się na lingwistycznych pierwiastkach romańskich i germańskich, zyskał sobie żywe uznanie w sferach zwolenników języka międzynarodowego całej kuli ziemskiej. Niewątpliwie „esperanto”, owoc całościowej działalności dr. L. Zamenhafa, odniosło walne zwycięstwo nad licznymi próbami poprzedniami wytworzenia podobnego języka.

Jako lekarz, dr. Ludwik Zamenhof poświęcił się praktyce okulistycznej w Warszawie, gdzie spędził znaczną część pracowitego życia swego.



Dnia 10 b. m. zmarł w Warszawie znany lekarz sanitarny dr. Antoni Pyrz.

Padł na posterunku, jako ofiara swego zawodu.

Urodzony w r. 1867, jako syn włościanina, we wsi Szczeczeńszu w kieleckiem, ś. p. dr. Antoni Pyrz po ukończeniu szkółki wiejskiej i seminarium nauczycielskiego w Jędrzejowie, objął stanowisko nauczyciela szkoły

po początkowej w Morawicy pod Kielcami. Związując wyższe aspiracje naukowe, ś. p. Pyrz samodzielnie przeszedł cały kurs gimnazjalny, zdobywając sobie świadectwo dojrzałości, które otworzyło mu dostęp do uniwersytetu. Utrzymując się z korepetycji, ś. p. dr. Antoni Pyrz ukończył wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego ze złotym medalem, a następnie udał się na dalsze studia do Paryża, Berlina i Londynu.

Jako lekarz, ś. p. dr. Antoni Pyrz pracował w Warszawie w szpitalu Dzieciątka Jezus, a podczas sezonów letnich praktykował w Ciechocinku, zyskując sobie wszędzie uznanie ogólne. W dobie wojennej zwłaszcza ś. p. dr. Pyrz zasłużył się społeczeństwu polskiemu, jako lekarz sanitarny, inicjator i organizator obywatelskich opiek sanitarnych w Warszawie.



Koło teatralne w Górcach pod Warszawą, powstałe z zapoczątkowania obywatela p. A. Szczecińskiego i nauczyciela p. M. Obłuskiego, odegrało pod kierunkiem literackim i reżyserskim Witolda Łaszczyńskiego czterokrotnie sztukę „Surdut i siermięga” Władysława Gutowskiego na dochód biblioteki miejscowej szkoły gminnej.

Znakomity środek odżywczy w wyczerpaniu fizycznym i umysłowym

„ROBOROL“

Cena flakonu rb. i kop. 85.

poleca Apteka Tow. Akc. „Fr. Karpiński”
ul. Mazowiecka № 10. 10238

KRAWIEC DAMSKI

Hipolit Kalinowski

Żórawia № 33, (dawniej Wspólna 30).

Nagrodzony wielkim złotym medalem na wystawie „Królestwo Mody” w Warszawie. 10252

Poleca wykwitną robotę kostjumów i okryć. Na składzie duży wybór materiałów na sezon wiosenny.

P I S M A

Gabryeli Zapolskiej

Modlitwa Pańska. Z ilustracjami St. Sawiczewskiego. Rb. 1.—

Pani Dulka przed sądem. Z ilustr. kop. —.60

Ich czworo. Tragedya ludzi głupich w 3 akt. „ —.60

Panna Maliczewska. Sztuka w 3 akt. „ —.75

Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15017

Wydawnictwa Tow. Akc.

S. Orgelbranda S-ów

w Warszawie.

POWIEŚCI TŁÓMACZONE:

	Rb. k.
Bang Herman. Bezdomni. Tłóm. Br. Neufeldówna.	1.50.
Benson E. F. Obraz na piaskach. Tłóm. Hajota	1.50.
Burnat-Provins M. Książka dla ciebie. Tłóm. Kazimierz Woźnicki.	1.—.
Crawford Marion. Róża wczorajsza. Tłóm. H. J. P.	—.90.
Dell E. M. Szlakiem Orła. Tłóm. H. J. P.	1.50.
Farina Sa'vatore. Syn mój. Tłóm. W. Zyndram-Kościółkowska.	1.80.
Farrère Kludyusz. Człowiek, który zabił.	1.—.
Geijerstam Gustaw. Komedia małżeństwa. Tłóm. M. Łaganowska	1.—.
Hichen Robert. Ogród Allaha.	1.20.
Jensen. Pani d'Ora.	1.20.
Rachilde. Bestya. Tłóm. J. L.	1.50.
Ular Aleksander. Żółta fala. Tłóm. Br. Neufeldówna.	1.80.
Wells H. G. Anna Weronika. Tłóm. H. J. P.	1.50.
Willy Colette. Siedm dyalogów zwierzęcych. Tłóm. Kazimierz Woźnicki.	—.90.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

15027

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 21 kwietnia 1917 roku.

Nr 16.

Tradycja polskiego urzędnika.

Pojęcia o dawności i wartości tradycji polskiego urzędnika są u nas chwiejne i sprzeczne. Wyszło to bardzo plastycznie na jaw w dyskusji, jaka rozwinęła się niedawno na tle poglądów p. Littauera w tej sprawie. Usiłował on nas przekonać, że niema u nas żadnej prawie tradycji polskiego urzędnictwa, które dopiero w Królestwie Kongresowem się poczęło, a już ze zwyciężeniem rewolucji listopadowej zakończyło. W odpowiedzi na to, sięgnięto aż do czasów wolnej Rzplitej, gdzie każdy prawie szlachcic był urzędnikiem państwa i gdzie odznaczał się jednak pewnemi rzeczywistemi cnotami, przede wszystkim bezinteresownością.

Dwa poglądy mylne. Wykażemy to po kolei:

O tradycji dawnego polskiego urzędnictwa niema co dziś mówić. Skończyła się ona z rozbiorem Polski. I ma dla nas obecnie wartość nie cennej pamiątki, ale starego próchna, o którym przykro jest wspominać. Nic podobnego do „intendentów“ Burbonów, ani do „prezydentów“ Hohenzollernów, nie zdołaliśmy sobie wyrobić. Nasi starostowie byli synekurstami prawie bez funkcji i prawie bez władzy. Starostwo było przede wszystkim tłustym kęsem na talerzu państwowym, potem godnością, potem prawie niczem więcej. Zabiegano o nie w drodze stosunków i intryg, otrzymywano je nie za zasługi, ale za usługi, a bardziej jeszcze za ich obietnice, zaś nierzadko wprost za poręczawicze, jakie dawano elekcyjnym królom. Wyjaśnił to, o ile się dało, prof. Czermak, w świetnym swoim portrecie Władysława IV, który zresztą takiej łapówki nie brał. Ale jego ojciec i jego brat, Zygmunt III i Jan Kazimierz, brali. Przeobfite urzędy Rzplitej byli pro-

stemi opravami szlacheckiego klejnotu, które nic nie przynosiły, ale i do niczego nie zobowiązywały. Każdy powiat miał komplet godności dworskich. Wojsko było pospolitem ruszeniem. Dochody państwowe: ekonomie, cła, żupy, były dzierżawione. Prawdziwi urzędnicy państwowi byli przy królu jedynie. Za Wazów liczyło ich trzydziestu kilku. Ciągły targ konstytucyjny o buławę nie pozwalał na wyrobienie się tradycji nawet na szczytach wojskowości. Pod skrzydłami „gwarancyi“, po pierwszym rozbiórce, utworzono wprawdzie dwa wielkie organa rządowe: Radę Nieustającą i Komisję Edukacyjną. Sejm Wielki zaczął swe reformy od obalenia wszystkiego, co zdołało stanąć na nogach, zaś co postawił, wprędce los obalił.

Czy można wobec tego mówić dziś, gdy przygotowujemy sobie stan urzędniczy, o starej polskiej administracyjnej tradycji? Był chaos — i wydał owoc swój: upadek.

Inny zgola ma kształt i cenę inną polskie urzędnictwo porozbiorowe. Tu i można i warto mówić o tradycji. To urzędnictwo powstało nieco wcześniej, aniżeli sądzi p. Littauer, i przetrwało znacznie dłużej, aniżeli do rewolucji listopadowej. A powstało odrazu wedle najświetniejszych wzorów. Współczesne państwo, z jego prawem administracyjnym, z jego centralizacją nadmierną, z jego wszechstronnym aparatem biurokratycznym stworzył Napoleon w 1800 r. Współcześni historycy francuscy, z Vandalem na czele, upatrują w tej właśnie działalności główną jego zasługę i chwałę. Napoleon był jeszcze większym organizatorem państwowym, aniżeli wodzem, ich zdaniem. Kiedy powstało w 1807 r. Księstwo Warszaw-

skie, otrzymało ono od tego genialnego organizatora całkowitą, prawie organizację: konstytucję, administrację, prawo cywilne, wojskowość. Wszystko to, co Burbonowie ulepszyli, co Rewolucya udoskonaliła, a co Napoleon stopił w ogniu swej wielkiej zdolności w mocną, jednorodną i konsekwentną całość, polski, ułamkowy, nowopowołany związek państwowy otrzymał niejako w darze.

Ten podarowany przez wielkiego człowieka blok instytucji miał swoje niedogodności. Przerywał on tradycję narodową wszędzie niemal, a więc i tam, gdzie rozwinęła się ona pomyślnie i z pożytkiem żyć mogła nadal. Zrozumiałe też są zarzuty i wyrzuty niektórych naszych uczonych prawników, potępiających tyle gwałtowne i radykalne wprowadzenie kodeksu Napoleona. Ale tam, gdzie tradycja była zgniła, a w dodatku przez zabór pruski przerwana, jak na polu krajowej administracji, wprowadzenie wzorów francuskich, które do dnia dzisiejszego zachowały zasadniczą swą wartość, mogło być tylko dobrodziejstwem.

Wprawdzie, to dobrodziejstwo było wówczas uwarunkowane jedną okolicznością: zdolnością polską do urzędnictwa.

Ta okazała się prawie świętą.

W instytucjach Księstwa Warszawskiego poczyną się tradycya polskiego urzędnika. W instytucjach Królestwa Kongresowego trwa ona już, jako coś wkorzonego, z ziemią zrosłego, od młodości zdradającego zdrowie, siłę i bujność. Francuskie wzory dawniej dobrze się przyjęły. Usunięto wprawdzie napoleońską konstytucję, ale nie umiano już ruszyć napoleońskiego kodeksu, a napoleońską administrację ledwie w zewnętrznych dotknęto kształtach. O trwałości tego dzieła dać nam może pojęcie to, że wszelkie próby russyfikacyjne nie zdołały usunąć z kraju naszego francuskiego prawa cywilnego, że wprowadzony do administracji polskiej pomocniczo

język francuski za Księstwa prze-
trwał nietylko Królestwo Kongresowe,
ale i czasy Paskiewicza; był on
urzędowym językiem Rady Stanu,
a jeszcze po powstaniu, za Berga,
Ostrowski po francusku walczył
z projektami Milutina na urzędowym
terenie.

Bardzo szybko też polski stan
urzędniczy zaczął wydawać znako-
mitych ludzi, z których tylko jeden
dziś jest dostatecznie oceniony: Lu-
becki. Jednakże Feliks Łubieński
i Mostowski prawdopodobnie prze-
wyższają go zdolnościami i zasługami,
a Stanisław Potocki i Matusze-
wicz mu pewno nie ustępują. Roz-
winał się też szybko w nowożytnej
Polsce stan urzędniczy, którego rzą-
dy Paskiewicza nie zniszczyły by-
najmniej. Aż do powstania 1863 r.,
a właściwie do 1870 r., w zakresie
sądowym nawet do 1876 r., urzęd-
nictwo w Królestwie Kongresowym
było polskim. Paskiewicz nie był
wcale rusyfikatorem; tylko na wyż-
sze stanowiska kierownicze dopusz-
czał rosyjan, którym zresztą nie ufał,
widząc zbyt rażące różnice z pola-
kami w zdolności i sumiennosci. Nie
tylko, że nie istniała w tej epoce
chęć wytepienia polskiego urzędni-
ctwa, ale, wprost przeciwnie, car Mi-
kołaj I pragnął otworzyć dla pola-
ków jaknajszerszą kadry rosyjskiej
administracji i w 1837 r. wydał prawo
bardzo liberalne, będące dla polaków
zachętą do wstępowania do służby
państwowej rosyjskiej. Podziwiać na-
wet należy sprawność polskiego
urzędnictwa owej epoki; jeżeli się
zważy, że nie było wówczas żadne-
go polskiego uniwersytetu i urzędnik
musiał na drodze praktyki i samo-
kształcenia zdobyć sobie całą wiedzę.

Kto jednak dotknął się do archiwów
z owej epoki, ten zawsze zdumiony
był gruntownym i skoncentrowanym
opracowaniem spraw urzędowych.

W plastyczny a świetny sposób
uwidoczniła się wartość polskiego
urzędnictwa, podczas krótkich rzą-
dów Wielopolskiego. Dzieło reform
jego było olbrzymiem. Wszystkie
wielkie dziedziny zostały pod jego
kierunkiem ustawodawczo przezo-
bione, a to tak, że dziś jeszcze po-
siadają swoją wartość. Jego dzieło
szkolne jest świetnym pomnikiem.
Jego ustawa gminna, zwyrodniona
przez Milutina, naszej Radzie Stanu
posłużyła do opracowania nowego
projektu, tylko w kilku szczegółach
odbiegającego od ustawy (z 1862 r.).
Cała ta ogromna praca została wy-
konana w ciągu kilkunastu miesięcy.

To był właśnie egzamin polskie-
go urzędnika.

I tu dopiero tradycja biurokra-
cyi naszej ma się ku schyłkowi. Po
powstaniu rozpoczęło się ruszczenie
kraju. Od urzędnika wymagano jed-
nej tylko kwalifikacji: aby był pra-
wosławnym. Polskich urzędników al-
bo usuwano brutalnie, albo zosta-
wiono ich „do wymarcia”. W końcu
tylko na najniższych urzędach się
zdołali utrzymać.

Ale tam wprowadzeni byli oni
w inny system, otoczeni innym o-
byczajem, przesiąkali więc niejedno-
krotnie innymi pojęciami.

Jeszcze urzędnik polak tu i ow-
dzie trwał. Ale nie był to już urzęd-
nik polski. Tradycja była zerwana.

Pamięć jej jest jednak świeża.
Niejeden ze współpracowników Wie-
lopolskiego żyje przecież jeszcze.

Wincenty Kosiakiewicz.

z taką brodą do pasa, w odwiecz-
nym pustelniczym płóciennym kitlu
z kapturem.

I Romkowi, zmęczonemu drogą,
odurzonemu powietrzem, ten biały
samotny pustelnik, wyrosły — na tle
cienistych kasztanów — okalających
białość domku — wydaje się jakimś
bajecznym, sennym zjawiskiem z ty-
siąca i jednej nocy, nęcącym od lat
dziecięcych niezwykłością i zagad-
kowością jego wyobraźnię.

Porównywa go w myślach z po-
stacią króla Leara, lub z pustelni-
kiem ze skrzypkami Böcklina. I z
wielkim wysiłkiem energii, zdjawszy
z głowy czapkę — przedstawia się
drżącym głosem starcowi:

— Jestem Roman Rudnik, syn
Maryni, z którą podobno kochaliście
się ongi, jak brat z siostrą. Mat-
ka moja bardzo często wspominała
mi o tych czasach.

— Byłeś ciekawy poznać pu-
stelniczą jaskinię smoka?

— Proszę mi wierzyć: Nie pusta
ciekawość sprowadziła mnie tu. Je-
dyńie serce, jakiś głos krwi, powinow-
actwo duszy i chęć uściśnienia ręki
człowieka, który w życiu wiele cier-
piał i którego kochała moja matka.

— Siadaj młodzieńcze. Jak ci na
imię?

— Romek.

— Tak, tak! Romek! Przypomi-
nam sobie z czasów, kiedy byłem
jeszcze z tamtej strony życia. Zmę-
czyłeś się. Z Jędrzejewicz spory ka-
wał drogi. Napijesz się mleka?

Powstał z siedzenia — wielki,
pomimo lekkiego zgarbienia, w swo-
jej białej mniszej szacie, ładnie ukła-
dającej się na jego proporcjonal-
nych kształtach. Piękny jeszcze, ze
swoją siwą brodą i długimi włosami—
przypominał ostatnich kamedu-
łów, których Romek za czasów swe-
go dzieciństwa odwiedzał kiedyś w
Zielone Świątki, na wysztych odda-
wna z mody Bielanych.

Niebawem powrócił z wielkim
glinianym garnkiem i kromką suche-
go chleba.

Zimne mleko, pite duszkiem z
dużego garnka, wydawało się Rom-
kowi wyśmienitem. Pijąc, przypa-
trywał się wujowi Frankowi, który
mlecząc, nie spuszczał także z niego
oczu; jakby mierząc się wzajemnie,
sondowali się do szpiku kości.

Ta niema rozmowa i ten zwie-
rzęczy, instynktowny sposób zapo-
znawania się—okazał się skuteczniej-
szym od salonowych, konwencyonal-
nych kłamstw, które w tak cudowny
sposób dusze ludzkie wiecznym mu-
rem chińskim od siebie wzajemnie
oddzielają.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

24

Pogardzony przez wuja Franka
martwy dworek, cały porosły buj-
nym zielskiem — drzemie w opu-
szczeniu, z zabitemi okiennicami o-
kien, z pustką wyłożonego kamienia-
mi podwórza, z otwartą furtką, dy-
gocącą na ostatniej zawiasie.

Zdala widać las. A u skraju lasu
sosen, jodeł, brzoź i grabów, na ma-
łej polanie na pół rozwalony domek:
To rezydencja wuja Franka, z czer-
wonym kominem — zębem czasu.
słoty i wiatrów draśnięta.

Dokoła małeńkie podwórko, o-
kolone płotem kamiennym — o wro-
tach podwójnych, nieszczelnie z dra-
bic zbitych. Za dworkiem ogródek
warzywny i sadzik owocowy. Zie-
lona łączka, żerdziam; niedbale opa-

sana, także do „klucza” przynależna.
Las sąsiedni prawie do chaty przy-
tyka...

A w piękne wiosenne ranki sły-
chać tu prawdopodobnie zawołanie
słowika; nawet szmery leśnych owa-
dów... Bocian zaprzyjaźniony z sa-
motnikiem — zagospodarował się na
strzesze, pewny, że odlatując, może
bezpiecznie gniazdo swe na opiece
zostawić.

Jakieś wzruszenie ogarnęło roz-
glądającego się dokoła Romka...

— Tak, tak. Nie myślę się. To
on! — drgnął cały, przejęty wido-
kiem siedzącego na prostej ławce z
pomurszalej belki, ustawionej na
dwóch pniakach, bosego starca, bez
czapki, z długimi białymi włosami,

Jakiś nagły prąd sympatii ich połączył, jak dwóch obcych rozbitków, których fale oceanu rzucają naraz sobie w objęcia, a którzy chcą odtąd płynąć razem, pomagać sobie wzajemnie, lub razem zginąć.

I Romek z młodzieńczą pasją mówienia o sobie zapomniał o celu swej wizyty: poznał u samego źródła przeszłych losów swego wuja. I sam zaczął wywnętrzać się ze swoich najsłabszych bólów, z całej Golgoty ubożego samotnego studenta-poety:

— To przysłowiowe szczęście młodych — to wieczna bajka starców, idealizujących przeszłość. Nie znam bólów starości; lecz sądzę, że wy mieliście już czas nauczyć się cierpieć; a nas — cierpienie dlatego tak strasznie dotyka, że w nim dopiero debiutujemy; że każdy ból dziwi nas; że cierpliwość nie zdołała jeszcze wyrobić się, a drażliwość jest większą. Zresztą my nie znamy jeszcze cierni i otchłani na każdym kroku; i dlatego potykamy się, ranimy coraz nowymi ranami; podnosimy się i znowu upadamy. Ach! Te wichry, burze i pioruny wiosenne! O! Te nasze rumieńce i błyszczące oczy! Te nasze krusze i złote włosy; zanim posrebrzeją, jak twoje — każdy włos porządnie się nacierpi!

Mówił mu o swoim zawodzie, który obrał z musu, i wyśpiewywał wszystkie stare piosenki swoich młodzieńczych buntów przeciwko utartym szlakom tak zwanych karier życiowych, których jedynym bożyszczem jest plód próżności: arry-wizm.

— Chcę obalić w sobie tego wampira, wroga szczęścia, żyjącego wyłącznie obłądą i pozą zewnętrznego zadowolenia. Precz z paradowaniem tej kłamliwej maski, która ma wzbudzać w bliźnich zawiść pod złe udawanymi pozorami tryumfu!

I powracał znowu do wiecznego leitmotiwu, że najwyższą męką dla niego będą tandetne studia medycyny, której nienawidzi; że czuje się młodym, że ma prawo do szczęścia, którego pozbywać się nie chce, bo mu jest droższe, niż wszystkie ułudy.

— Jesteś artystą.

— Tak, kocham sztukę; bo tylko ona daje szczęście. Tylko artysta jest godnym patentu na człowieka; bo umie patrzeć, czuć, słyszeć; żyje nie tylko instynktami zwierzęcymi, lecz duszą, czułą, jak hara eolska, wsiąkająca w siebie nadziejskie tony aniołów.

— I szatanów! — zawołał wuj Franek, z ugodowością starców, spragnionych spokoju. — Sztuka daje szczęście? mówisz młodzieńcze. A czy wiesz, co to znaczy: słyszeć,

widzieć i czuć tysiące razy więcej, niż inni? Być innym, niż wszyscy — to jakgdybyś spadł z innej planety, skazany na wieczne błądzenie wśród obcych, którzy ciebie nigdy nie zrozumieją; co najwyżej kupią za rubla tom twoich sonetów czy nokturnów, lub wygrają w rozlosowaniu Pałacu Zachęty twój obraz. Poza tem będziesz sam i, jak owe kurczę, piskle, które wylęła kaczka — będziesz przypatrywał się obcy z zawiścią, jak twoi przybrani bracia — wypływają na staw, a ty zostajesz na piasku sam, jak na pustyni. A potem masz za to sławę — małego talentu! A mieć sławę średniego artysty, to tak, jak być sławnie garbatym lub sławnie kulawym. Opinią kalectwa, które zawdzięczasz krytyce. A czy ty wiesz, co są krytycy? To są przeważnie chybienni ex-artysty, mszczący się na talentach za własny życiowy zawód, za własne bankructwo i impotencję. To oni przez nienawiść dla prawdziwej, czystej sztuki — zaprzegają poetów do artystycznych rzemiosł, do postronnych celów użyteczności partyjnej, politycznej, społecznej.

Nakładają ci pęta i uzdy najróżnorodniejszych programów i przejściowych imperatywów. Wszystko, byle nie prawdziwa sztuka, taką, jaką czuli grecy, jaką pojmował renesans, prymitywy flamandzkie: Wan Eyk, Memling, Goes! Jak określił ją trafnie Zola, prawy syn Balzaka i Flauberta: „Sztuka to prawda, widziana przez pryzmat indywidualności“. Kretyni nazwali taką prawdę fotografią, choć fotografia będzie jedynie prawdą, widzianą przez bylejakiego fotografa, lecz nie przez pryzmat takiej indywidualności, jak Zola, lub jak inni geniusze.

I opromieniony ideałami swojej młodości z przed lat czterdziestu — ciągnął dalej:

— Hipolit Taine orzekł, że artysta powinien tak długo stać przed drzewem, póki nie dojrzy w nim czegoś, czego nie dostrzegł nikt przed nim. Oto i rozstrzygnięcie zadania artysty. Nic innego ponadto nie istnieje; są jeszcze tak zwani „młodzi“. Są to albo ludzie przekonani, że ponieważ do niczego innego nie byli zdolni, więc muszą być chyba artystami; ludzie od najmłodszych lat mgliści, nielogiczni, wyśmiewani przez kolegów, krewnych, znajomych. Do nich przylączają się artyści z ukrytą rozpaczą, iż przy drzewie Hipolita Taine'a nie nowego dojrzeć nie mogli, i że pryzmat indywidualności mają: aptekarza, tenora lub fotografa. Ci w połączeniu z zrozpaczonymi krytykami, pragna-

651
cymi sławą à tout prix — tworzą z hukiem fanfar i krzykliwością reklam nowe ołtarzyki, nowe szkoły, nowe sklepiki z bajecznie kolorowanymi sztyldami, któremi oglupiają snobów, wstydzających się przyznać, iż moda jest wprawdzie nową, lecz głupią, niepotrzebną i brzydką.

W epokach upadku sztuki, t. j. w epokach odwracania się z pogardą od prawdy — takich przejściowych szkół powstały całe legiony. W naszej epoce, nie posiadającej poza genialnym Rodin'em w sztuce i w literaturze z żyjących nikogo — paryski salon de refusés, a po za nim wszystkie młode salony Europy — szczyć się podobno jakimiś kubitami!

Romek powrócił do swego przerwane go leitmotiwu:

— Kocham sztukę nie dla mody i nie dla sławy, lecz dla niej samej. Bo co to jest sława? To w gruncie piękne piórko, pragnienie każdej aptekarzowej posiadania najcenniejszej sukni w całym miasteczku. Co innego, jeżeli z tej sławy chce się uczynić podnózek dla stóp ukochanej! Wtedy warto poświęcić wszystko — naraz zmienił logiką młodzieńcze zdanie. — Przyszedłem do tego wniosku w ostatnich chwilach mego życia. Bezwzględne szczęścia nie ma. Kupuje się je tylko składaniami u jego ołtarzy ofiarami. Kto do takiej ofiary zdolny, otrzymuje zapłatę królewską. Wstąpię na medycynę; kwituję ze wszystkich moich dawnych pragnień dla kogoś droższego mi; ponad wszystko.

— Ty kochasz? — przerwał mu nagle jego pieśń wuj Franek, zasłuchany w dźwięk młodzieńczej mowy, jak w szmer powrotnej fali, jak w nagle ożyły głos starej pozytywki, której melodyę znał na pamięć od lat dziecięcych.

Zdawało mu się, że to on sam jest Romkiem. I spojrzął na własną siwą, długą po pas brodę. Miał wrażenie, że to jego zmartwychwstały dziadek przysłuchuje się słowom swego wnuka. To on sam jest owym młodzieńcem z jedynym celem życia: osobistym szczęściem. To on, zrywając wszelkie kajdany obowiązków, — przerzuca się z muzyki do malarstwa, z rysunków do dziennikarstwa, z literatury do śpiewu. A potem ujrzał piękną dziewczynę. Ani w głowie mu było pozbawiać się jej widoku. Poszedł za nią.

Spojrzał na błyszczącą młodością twarz Romka, na palające jego aksamitne oczy, na lśniąco białą zębami i szkarłatne wargi.

Ta sama krew, co w nim samym ongi wrzała! Ta sama młodość, te same błędy, powtarzające się w kół-

ko we wszystkich generacjach rodzin, narodów, całej ludzkości.

Chwycił go za rękę.

— Czy ta kobieta, którą kochasz, zechce z miłości dla ciebie skwitować z trzewików lakierowanych i żywić się mlekiem z glinianego garnka w lesie, bez pudru, bez lustra, bez teatru? Bóg stworzył miłość, kwiaty, gwiazdy i owoce, a dyabeł stworzył cywilizację, próżność, zawiść i nudę. Dyabeł jest bardzo silny. Trudno zdusić w sobie wszystko, co dyabelskie, i żyć wyłącznie tem, co boskie.

I naraz Romek zdumiał. Bo oto wuj Franek zaczął mu mówić z zupełnie innej beczki, programowo, że żyje się nie dla szczęścia lecz dla pracy, że miłość nie jest wieczną, że jedynie spełnienie obowiązków daje zadowolenie. Należy żyć w gromadzie, kierować się jedynie najbardziej płytką moralnością, najbardziej przestarzałymi ideałami, najobłudniejszą etyką i najdespotyczniejszymi prawami wszystkich paragrafów. Trzeba zdusić w sobie szczerość naszej duszy, głębię naszego umysłu i jęki naszego serca, jeśli te walory — nie figurują na rynkach zbytu — nie mają żadnej ceny. Nie powinniśmy za nie żądać ani złota, ani laurów. Trzeba handlować jedynie towarami pokupnemi. Jeżeli ich nie masz, nie dziw się, że będziesz niedziszem. Bo w życiu nic darmo. Nieprawda, że ludzie teraz się zepsuli. Twórca dziesięciorga przykazań i siedmiu grzechów głównych — znał dobrze ówczesną naturę ludzką, która od tego czasu nie zmieniła się, pchana wiecznie w uludnem pragnieniu szczęścia.

— A wiesz, na czym polega to szczęście, do którego wyciągamy wiecznie ramiona?

— ?

— Polega ono jedynie na umiejętności pozbawiania się pragnienia szczęścia osobistego.

Romek za głowę się chwycił.

Ależ to teoria życiowa śmieśnie trzeźwej ciotki Benisi, którą pogardziła nawet jego matka! Więc nawet ten starzec, przeszedłszy już Rubikon życia, nawet tu, w samotni, oddzielonej oceanem od tamtej strony złych ludzi — nie zdobył się jeszcze na inną filozofię życia ponad ten wązki, małomieszczański szmacik wytartych filisterskich komunalów?

— To ty wuju, ty, który wypileś czarę rozkoszy i goryczy do dna, dajesz takie rady starych kumoszek i ciotek z kanapy? Biegłem tu, jak do wyroczni, aby wskazała mi, jak żyć, a ty uczysz mnie, jak wegetować. Jeżeli to ma być wynikiem sa-

motnych rozmyślań całego twego życia — żalił się dziecinnie, głosem, nabrzmiałym od napływających łez — to mi ciebie, wuju, żal. Tragedya leży nie w tem, co życie nam złego dało, lecz dopiero w przeświadczeniu, że nic lepszego życie wogóle dać nie może. Ja nie chcę arrywistycznej kariery; chcę szczęścia.

Lecz starzec nie odczuł jego zarzutów. Wydawał się zmęczonym długą rozmową. I mówił, jakby do własnych starych myśli — oddalony od chwili, jakby zapomniawszy o obecności gościa.

— Najwyższa tragedia, synu mój, leży w powolnem dojściu do przekonania, że my upragnionego szczęścia nie jesteśmy warci. Byłem uwolniony, jak wiesz zapewne, z więzienia z powodu braku dowodów i choroby umysłowej. Lecz ja sędzę, że byłem zdrow. A ci wszyscy źli ludzie, świadczący o mojej winie — może mówili prawdę... To już tak dawno; nie pamiętam... Może ja rzeczywiście wiedziałem, że ona mnie zdradzała i dla osobistej wygody zamykałem oczy? Już nie teraz nie wiem. Nie chodzi mi, co świat o mnie myśli, lecz co ona w takim razie o mnie myślała? A ja może zabiłem ją nie z miłości, lecz z nienawiści o tę jej opinię o mojej podłości? Zabiłem ją może z pogardy dla samego siebie. I żyję z karą w samym sobie cięższą, niż zesłańcy w kopalniach. Idź, mój synu, nie pragnij szczęścia i nie grzesz nie tylko czynem, lecz nawet i myślą. W wewnętrznej czystości leży jedyne szczęście.

— Zbyt młodo wydajesz na mnie wyrok śmierci, mój wuju. Chcę grzeszyć, chcę być szczęśliwym, chcę żyć!

— Chcesz być szczęśliwym? A więc nie przyczyniaj się nigdy do nieszczęścia innych. Chcesz żyć, a więc nie zabijaj. Nigdy. Bo nie masz na świecie ideału tak wzniosłego, dla którego wolno poświęcić czyjkolwiek życie. Chyba jedynie swoje własne. Bo dożywotnia kara, która nas za nasze winy spotyka — jest straszna. Tkwi w nas samych.

Romek biegł prawie z powrotem do Jędrzejewic.

Nie widział ani nowych cudnych efektów zachodzącego słońca, w których tak czarownie kąpały się wzgórza, haftowane deseniem barwnego dywanu w kraty; nie widział ani zamarłej karczmy, jeszcze fantastyczniejszej ze swojemi słupkami, żółwionemi teraz luną zachodzącego słońca.

Nawet nie zauważył krzyża na rozstajnych drogach, z ramionami

wydłużającemi się w ciemnościach; ani pięknych domków z ogródkami w St. Germain miasteczka z uiluminowanymi już oknami; ani martwego już rynku ze św. Józefem w swojej kapliczce, zdającym się tak dobrotnie przypatrywać smutkowi małego Romka.

Sam nie wiedział, jak, kiedy i w jakim stanie duszy — znalazł się przed bramą pałacu Jędrzejewickiego, w swojej ulubionej królewskiej kasztanowej alei. I zmęczony, zbity daleką drogą i przeżytemi wrażeniami, a najbardziej owym ostatnim bezmyślnym transem — rzucił się na ławkę.

Dalszy ciąg nastąpi.



Fale.

*Rzucam na wodę jesienne liście —
niesie je fala...*

*Tak z biegiem czasu wszystko się od nas
zwolna oddala...*

*Tak wszystko od nas zcicha odpływa,
jak liść ten złoty:*

*Dzieciństwa jaskry, młodości róże,
pragnienia... wzloty...*

*Przez jedno mgnienie liść się na fali
kołysze zlekka —*

*A potem szybko w dale nieznane
z wodą ucieka...*

*Ucieka chwila — próżno ją dusza
z tęsknotą goni —*

*O! jakże predko ginie na życia
mchliwej toni...*

*Ucieka młodość, zanim się dusza
szczęściem nasyci...*

*Rwą się i płaczą dziwnych przeznaczeń
tajemne nici...*

*Odchodzi miłość, krwawiąc, jak smętne
zachodów słońce —*

*Fale ją niosą... fale zapomnień
w nicość płynące...*

*I z dusz najbliższych, raz po raz, któraś
w wieczność odchodzi —*

*Charon ją w swojej płynącej zcicha
zabiera łodzi...*

*Pociesz się duszo — nie trwa wiecznie,
wszystko przemienie —*

*Więc i to także, coś przecierpiała
w smutków godzinie...*

Zuzanna Rabska.

Okopały się wygodnie w kąciaku pod piecem.

— Co u paniusi?

— Ano tak tam... Dzieci na psa urok, zdrowe, rosną jak na drożdżach, apetyt mają coraz większy, kartek nastarczyć nie można...

— Oj, tak...

— A u paniusi?

— Ano... córkę wydaję. Za legioniste.

Słuchająca spogląda ze spólcuciem.

— Cóż, moja paniusiu? Wojna trwa już trzy lata. Robiło się więcej niż można. Herbatę z cukrem dawałam, dwa seanse były z Guzikiem, jeden nawet z gorącą kolacją, prawdziwym węglem w piecu paliłam, młodzież chodziła — i nic! A przyszedł karpacz, moja paniusiu, węgla już wtedy wcale nie miałam, koksem się tylko paliło, był ze trzy razy i — oświadczył się! Wczoraj wyszły już zapowiedzi w nowym polskim kościele na Długiej. A jakże! No, nazwiska może nie ma ładnego. Parzych się nazywa. Ale jest z Królestwa. Był na filozofii w Krakowie — doktor, paniusiu! No, austriacki, ma się rozumieć, więc leczyć nie będzie mógł u nas, ale urzędnikiem może zostać, i to nie bylejakim. Trzeci rok już na wojnie. Ma dwa krzyże i trzy gwiazdki. Niedługo sfasuje kapitana. I w Zachęcie ma wisieć podobno...

Paniusia, słuchając, kiwa zbożnie głową.

— I panusia kontenta?

W odpowiedzi, zapytana otwiera dalszy ogień wymowy.

— Z początku nie byłam kontenta. Mąż był nawet bardzo przeciwny: rozumie panusia, on jest międzypartyjny. Jak przyszedł legionista pierwszy raz potaćzyć, no, to jeszcze nic... Orientacja orientacja, a zawsze to polski żołnierz. Ojciec mojego męża bił się w 63-im, mój pradziadek w 30-ym... Ma się rozumieć, to były inne czasy... No, ale zaprosiło go się na drugi raz, i na trzeci... A tu on, moja paniusiu, od razu wysła na patrol jedną swoją znajomą ligawkę, czy może się starać o Madzie? Antoś się wtedy rozniewał i powiada, że to nie ma sensu! Będzie chodził, chodził, wyda się dużo pieniędzy, potem go zawołają na front i pójdzie sobie, a córka zostanie na hinterlandzie, i w dodatku zakochana! Bo i pewnie, paniusiu... Ale on przyszedł na trzeci dzień, stanął przed Antosem do raportu i — oświadczył się posłusznie! To myśmy go poprosili o dzień namysłu, no, i dziękować Bogu, Antosiowi orientacja przez noc się zmieniła. No, bo jak mąż, to zupełnie co innego... W rewolucję w dziewięćset piątym było u nas zupełnie to samo. Pamięta panusia te czasy, co to na ulice wyjść nie można było wieczorem, bo strzelali i bandy jakies z Rosyi miały przyjść i wszystkich mordować? Tośmy siedzieli po domach i grało się w loteryjkę... I tak samo przyprowadzili raz znajomi do nas jednego młodego, był parę razy, raz nawet go przenocowaliśmy, bo miałam wtedy pokój nie wynajęty, no,

i na trzeci dzień oświadczył się o starszą córkę. I tak samo mąż nie chciał w pierwszej chwili o tem słuchać, że to był socyal, a Antoś był zagorzały narodowiec. Ale czasy już i wtedy były trudne, więc że to chciał zostać mężem — tośmy się zgodzili. I dziś, moja paniusiu, są jaknajszczęśliwsi: ewakuowali się w dziewięćset piętnastym do Rosyi, i stamtąd dostaliśmy wiadomość, że mają syna i osiem tysięcy na rok! Tak samo i z tym może być, paniusiu; tyle teraz nowych posad otwierają, nie będzie się nawet potrzebował ewakuować i ośm tysięcy dostanie — choćby tylko marek. Dobrze i to na początek... No więc Antoś się zgodził, i legionista zaraz na drugi dzień przyszedł ze swoim przyja-

ciem pułkownikiem podziękować. Akurat wtedy nie mieliśmy nic w domu, tylko chleb kartkowy, ale Antoś był w świetnym humorze, bo niech sobie panusia wyobrazi, on ma tylko dwie nieźle posady, jedną przy magistracie a — drugą w sekcji, a tu tego samego dnia przed południem dają mu trzecią doskonałą przy — departamencie! I teraz, moja paniusiu, on się, ma się rozumieć, wypisuje z międzypartyjnych, no, bo jak się wydaje córkę za przyjaciela pułkownika i ma się trzy posady, to się przecież należy do czynnego obozu... czy nieprawda, paniusiu?...

Paniusia zazdrośnie kiwa w takt głową...

B. Gorceyński.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

14

POWIEŚĆ

II

Codzienne nasze stosunki uległy dwutygodniowej przerwie, wskutek mego niespodziewanego wyjazdu z Genewy. Wróciwszy, poszedłem, nie tracąc czasu, na Boulevard des Philosophes.

Przez otwarte drzwi saloniku usłyszałem, ku wielkiemu niezadowolenu, głos jakiegoś gościa przemawiającego z namaszczeniem.

Fotel pani Haldin był pusty, a siedząca na kanapie panna Natalia zwróciła na mnie witajaco swe szare oczy z czemś zblizonem do uśmiechu, ale nie poruszyła się. Z białemi rękoma złożonemi na żałobnej sukni wpatrywała się w siedzącego na prostopółkownicy, który siedział zwrócony do mnie plecami; a były to nie plecy a bary, harmonizujące z jego głębokim, basowym głosem.

Gość ten spojrzał na mnie szybko przez ramię i rzekł:

— A; wasz angielski przyjaciel. Wiem, wiem. To nic.

Miał ciemne okulary; a wysoki, jedwabny kapelusz stał przy jego krześle. Gestykulując zlekka dużą, pulchną ręką, mówił dalej:

— Nie zmieniłem wiary, jaką żywiłem błądząc po syberyjskich tajgach. Podtrzymywała mnie wtedy, podtrzymuje i teraz. Wielkie potęgi Europy muszą upaść, a przyczyna ich upadku będzie bardzo prosta. Wyczerpią się same w walce z proletaryatem. W Rosyi jest inaczej. W Rosyi nie mamy zwalczających się klas, z których jedna byłaby pożądaną przez bogactwo, a druga przez

liczbę. Mamy tylko znieprawioną biurokrację a naprzeciwko niej lud tak wielki i niezgłębiony, jak ocean. Nie; nie mamy klas. Ale mamy kobiety. Nadzwyczajne rosyjskie kobiety. Mam od nich stosy wspaniałych listów. Tyle w nich męstwa, zapалу i podniosłych uczuć. To też nasza największa nadzieja w kobietach. A ich żądza wiedzy? To coś zdumiewającego. Patrz pani, jak ją chłona, jak ją sobie przyswajają. Ale co to jest wiedza?... O ile wiem, pani nie studyowała żadnej specjalnej gałęzi... naprzykład medycyny. Nie? To słusznie. Gdybyś pani po przybyciu tutaj zaszczyliła mnie pytaniem, jak masz swój czas spożytkować, byłbym jaknajsiłniej odradzał wszelkie specjalne studia. Wiedza sama w sobie, to strój!

Mówca miał jedną z tych rosyjskich, brodatych fizygnomii pozbawionych wszelkich charakterystycznych rysów. A ponieważ oczy kryły się za ciemnymi okularami, więc była to twarz zupełnie bez wyrazu. Znałem go z widzenia. Był jednym z wybitnych rosyjskich zbiegów. Cała Genewa знаła jego barczystą, czarno odzianą postać. A w pewnej epoce cała Europa czytała historię jego życia, napisaną przez niego samego, a przetłómaczoną na siedm, czy więcej języków. W młodości wiodł próżniackie, hulaszczkie życie. Ale po nagłej śmierci narzeczonej, panny z wielkiego świata, wycofał się z towarzyskich kół, i zaczął spiskować, na skutek czego ojczyzna autokracya zaopiekowała się nim na swój sposób. Uwięziono go, trzyma-

no w twierdzy, bito, że omal ducha nie wyzionął pod pałkami i wreszcie skazano na ciężkie roboty pospółu ze zwykłymi zbrodniarzami. Ale największe powodzenie swoich książek zawdzięczał kajdanom.

Nie pamiętam już, jaka była długość i jaki ciężar tych kajdan, które mi go skuto „administracyjnym porządkiem“, wiem tylko, że było to coś równie przerażającego, jak zbędnego, gdyż więzień zdołał unieść te rządowe odznaki w lasy. Dźwiękiem owych kajdan rozbrzmiewa opis tej ucieczki, nad którą zdumiewały się obie półkule. Więzień zaczął od tego, że zmylił czujność dozorców i ukrył się w jakiejś nadrzecznej rozpadlinie. Było to już ku końcowi dnia; z niesłychanym trudem zdołał oswobodzić jedną nogę. Tymczasem zapadła noc. Miał już zacząć z drugą nogą, gdy spotkało go straszne nieszczęście. Upuścił piłkę.

Piłka ta miała swoją romantyczną historię. Dała mu ją niespodziewanie pewnego wieczora cicha, biała dziewczyna. Biedaczka przybyła do kopalni za swoim narzeczonym, chorowitym młodzieńcem, socjalnym demokratą i mechanikiem z zawodu. Przeszła pieszo pół Rosji i prawie całą Syberję, by się tylko z nim połączyć i dopomóc mu do ucieczki. Ale przybyła za późno. Narzeczony jej na tydzień przed tem umarł.

W taki to sposób piłka dostała się do rąk naszego skazańca i natchnęła go postanowieniem odzyskania wolności. Ale wysiłnawszy mu się z rąk poprostu zapadła w ziemię. W żaden sposób nie mógł na nią namacać po ciemku. Szukał i szukał w błocie, w wodzie, napróżno. A tymczasem mijała noc; ta bezcenna noc, pod osłoną której miał schronić się w lasy. Przez chwilę zdjęła go taka rozpacz, że chciał już dać wszystkiemu za wygraną; ale przypomniawszy sobie spokojną, smutną twarz bohaterskiej dziewczyny, zawstydził się. Wybrała jego, by mu oddać ten dar wolności, i on powinien okazać się godnym tego wyróżnienia. Był to jakby rodzaj depozytu i małoduszność z jego strony byłoby zniwagą wobec zaparcia się siebie i bohaterstwa kobiecej miłości.

Są w jego książce całe stronnice auto-refleksji, z których niby biała postać z mrocznego, wzburzonego oceanu wylania się przeświadczenie o duchowej wyższości kobiety — jego nowa wiara, publikowana potem w kilku innych tomach.

Pierwszym holdem, jaki jej złożył, była jego nadzwyczajna egzystencja w bezskresnych tajgach.

Podarłszy na pasy koszulę, owinał niemi łańcuch w kilku miejscach do koła lewej nogi, a koniec jego przytwierdził mocno w pasie, by w ten sposób stłumić brzęk kajdan. Stał się dzikiem i przebiegłym. Zakradał się cichaczem do wiosek i wpadał do odludnych domów z siekierą, którą wydarł jakiemuś traczowi. W puszczach żywił się dzikimi jagodami i leśnym miodem. Odzież spadła z niego stopniowo. Jego naga postać przesuwiała się wśród gąszczy z chmarą moskitów i much dokola jego rozczochranej głowy, szerząc postrach w okolicy.

Dzikość jego wzrastała, a on cieszył się z tego, bo to mu stanowiło pewną rękojmię powodzenia. Jakby dwie ludzkie istoty zespoliły się w nim nierozdzielnie w tem przedsięwzięciu. Człowiek cywilizowany, wyznawca szczytnych idei humanitarnych, łaknący tryumfu duchowej miłości i politycznej swobody, i dziki pierwotniak, bezlitośnie przebiegły, jak tropione dzikie zwierze.

Dzikie zwierzę instynktownie dążyło na Wschód ku Oceanowi Spokojnemu, a cywilizowany człowiek z trwogą i uległością śledził jego obroty. Ale niczego się tak nie bał, jak ludzi i ani razu nie przyszło mu na myśl odwołać się do ludzkiego współczucia. Wyrobił się w nim chorobliwy pesymizm, rodzaj przejściowego obłędu, spowodowanego zapewne fizyczną męką dźwigania łańcucha. Ułożył sobie, że kajdany czynią go wstrętnym dla reszty ludzkości. Był to ohydny, przeklęty ciężar. Zdawało mu się niepodobieństwem, by ktokolwiek zobaczywszy go mógł się oprzeć chęci wydania go w ręce policyi.

Pewnego dnia jednakże natrafił na samotną kobietę. Było to na otwartej polanie, na skraju lasu. Kobieta siedziała nad brzegiem strumienia, w czerwonej chustce na głowie. W oddali widać było kilka lichych chat i wodny młyn nad stawem świecącym, jak tafla szklana w zapadającym mroku.

Zbieg zbliżył się do niej z siekierą zatknietą za pas z łańcucha i pałką w ręku. Zdźbła traw i liści tkwiły w jego rozczochranych włosach i brodzie; a strzępy łachmanów powiewały dokoła kajdan. Na ich lekki dźwięk kobieta odwróciła głowę i zdrętwiała... Była tak pewna, że to dzikie straszidło zamorduje ją niezwłocznie, iż zasłoniła tylko oczy rękoma, by uniknąć widoku spadającej na jej głowę siekiery. Gdy wreszcie zdobyła się na odwagę i podniosła wzrok, ujrzała włóczęgę siedzącego o kilka kroków od niej nad brzegiem

wody. Chudemi, żyłastemi ramionami obejmował nagie kolana i trząsł się, cały wpatrując się w nią błędnym wzrokiem zaczerwienionych oczu i napróżno usiłując przemówić. Od sześciu tygodni nie słyszał dźwięku własnego głosu i stał się niemym, jak bydle. Wtem kobieta krzyknęła; a w krzyku tym dźwięczała taka bezbrzeżna litość, że w nieszczęsnym potworze zbudziło się targnięte tym objawem niewieściego serca człowieczeństwo. Kobieta rozplakała się, a i on zaczął płakać z radości, jak nawrócony grzesznik. Wówczas ona zaleciwszy mu, aby się ukrył w lesie (policya krążyła po okolicy) odeszła, obiecując mu powrócić w nocy.

Istnem zarządzeniem Opatrzności, kobieta owa niedawno poślubiła kowala wioskowego, który ulegając prośbom młodej żony poszedł z nią, zabrawszy potrzebne narzędzia.

„I tak“ mówił autor w swej książce, „kajdany spadły ze mnie w cichą, gwiazdzistą noc, nad brzegiem strumienia. A rozkuł mnie atletyczny, milczący młodzieniec z ludu, podczas gdy kobieta, jak dobry geniusz, stała nademną ze splecionymi rękoma“.

Była to zatem symboliczna para. Następnie litościwi ci małżonkowie zaopatrzyli powróconego ludzkości brodiągę w odzież i pokrzepili go wiadomością, że brzeg Oceanu już niedaleko. Jakoż ujrzał go z sąsiedniego wzgórza.

Dalszy ciąg ucieczki nie miał w sobie już nic mistycznego ani symbolicznego. Zbiegowi udało się przedostać w zwykły sposób Kanałem Suezkim na Zachód i wylądować w Południowej Europie. Tam napisał książkę, która zjednała mu szalony rozgłos, a potem kilka innych, głoszących kult kobiety.

Osobiście uprawiał go pod postacią osobliwszego uwielbienia dla transcendentalnych zasług niejakej pani de S... osoby już nie pierwszej młodości, wdowy po pewnym, swego czasu wpływowym, a dziś zapomnianym dyplomacie.

Dama ta uprawiała swe głośne aspiracje do kierowania współczesnym umysłem i uczuciem życia (jak niegdyś Voltaire i pani de Stael) na republikańskim gruncie Genewy.

Siedząc w wielkim, otwartym landzie, obwoziła po ulicach miasta swą smukłą, hieratycznie sztywną kibić, i wielkie, niespokojne oczy, błyszczące za krótką, czarną, koronkową woalką, sięgającą jej, jak maska, tylko do mocno czerwonych ust. W przejażdżkach tych towarzyszył

jej zazwyczaj „bohaterski zbieg“, jak nazywano autora sensacyjnej książki, siedząc nie obok niej, ale na przeciwko, plecami do koni. Te spacerów we dwójkę wyglądały na świadomą, publiczną manifestację. A może była ona nieświadoma. Rosyjska prostolinijność tak często ociera się o cynizm w swych szczytnych zamierzeniach. W oczach rosyjan tedy powaga, z jaką tych dwoje paradowało po ulicach zwolna i uroczysto, mogła mieć jakieś mistyczne znaczenie, ale płochym, zachodnim umysłem wydawało się to wprost nieprzyzwoitem.

Wszelako nie przystoi skromnemu nauczycielowi języków krytykować „bohaterskiego zbiega“ o wszechświatowej sławie.

Ze słyszenia, wiedziałem, że był bardzo czynnym i gorliwym apostołem swoich idei, że nawiedzał rodaków po hotelach i prywatnych mieszkaniach, a nawet zawiązywał z nimi znajomość w publicznych ogrodach, gdy się tylko jaka-taka sposobność po temu nadarzyła. Przed kilku miesiącami odwiedził również parę razy panie Haldin, ale nie znalazłszy tam podatnego dla siebie gruntu, wycofał się niechętnie, bo był to człowiek, który łatwo nie dawał za wygraną. Było więc do przewidzenia, że zjawi się znowu w tej ciężkiej chwili, by jako rosyjanin i rewolucjonista okazać im swoje współczucie a może i uderzyć we właściwą strunę pocięchy. Mimo to obecność jego w tym domu dotknęła mnie niemiło. Chcę wierzyć, że jakaś niestosowna zazdrość o moje uprzywilejowane tu stanowisko nie miała z tem nic wspólnego.

Nie rościłem sobie prawa do wyjątkowych względów. Mój wiek i moja narodowość wytwarzały pomiędzy nami pewną zaporę, której byłem doskonale świadomy i której nigdy nie próbowałem nawet naruścić. Obecnie, widząc, że panna Haldin z tą charakteryzującą ją trafnością instynktu nie przedstawia mnie barczystej znakomitości, byłbym się wycofał spokojnie i wrócił jeszcze, gdyby nie to, że w wyrazie jej oczu była jakby niema prośba, abym został, a może w ten sposób skrócił niepożądaną wizytę.

Gość podniósł z ziemi kapelusz, ale po to tylko, by go umieścić na kolanach.

— Spotkamy się jeszcze, Natalio Wiktorówna. Dziś zaszedłem jedynie, by dać dowód tych uczuć, względem pani i jej szanownej matki, o naturze których nie możesz pani wątpić. Nie potrzebowałem żadnej zachęty, ale Eleonora... pani de

S... wysłała mnie poniekąd sama. Niema w dziedzinie ludzkich uczuć takiego cierpienia i takiej radości, których ta kobieta nie potrafiłaby zrozumieć, podnieść i uduchowić swoim współudziałem. Świeżo przybyły z Petersburga młodzieniec, o którym napomknąłem pani, jest już pod jej urokiem.

Dalszy ciąg nastąpi.



Reklama Narodu.

Pyl zapomnienia coraz grubsza warstwa przykrywał Polskę. „Prowincją Rosyi“ przestano się interesować *con amore*, zwłaszcza, że kolos rosyjski wywierał wpływ przemożny na układ stosunków międzynarodowych.

Potężna ongi Rzeczpospolita stała się dla świata sprawą wewnętrzną mocarstw rozbiorowych, sprawą, która była „nadmier nudna, przedawniona, nędzna, mała“.

Były to ujemne skutki braku własnej państwowości.

Wprawdzie przed wojną pisali po francusku E. Starczewski o Polsce i Europie, A. Potocki o Polsce współczesnej, nie skąpili także pióra sentymentalni bracia Leblond, W. R. Morfill wydał o nas książkę p. t. *Poland* w *The Story of the Nations*, wychodziły ponadto *Les Pages Modernes—Le Pologne politique, économique et sociale* i niektóre inne perydyki biura prasowego galicyjskiej Rady Narodowej, rzymskiego biura prasowego oraz biura pras w Paryżu, prowadzonego przez Woźniakiego.

Wszakże na ogół panowało milczenie. Co gorzej, informacje, jeśli były, stanowiły kroplę tonącą w zalewającym rynku europejskim morzu wydawnictw ormian, rusinów, żydów, ukraińców, a nawet bałtów i tatarów, którzy nie szczędząc pracy ani pieniędzy, informowali Europę i Amerykę interesującą, źródłowo, umiejętnie, aktualnie i — tanio.

Wojna, niszcząca Europę na olbrzymiej przestrzeni, wojna ta, rujnująca Polskę materialnie, sprawiła jednak, że staliśmy się znów przedmiotem uwagi powszechnej. Sprawa polska została wytoczona na theatrum dziejowe. Jest przedmiotem interesu międzynarodowego. W takich chwilach nieodzowną jest informacja prędka, rzeczowa, zajmująca i zarówno dla stron obu korzystna. Informacja taka staje się *reklamą* w najlepszym tego słowa znaczeniu. Istnieją powstałe w czasie wojny czasopisma w języku francuskim i niemieckim, poświęcone sprawom polskim, jak *Polonia* i *Revue de Pologne* (Paryż) przy współudziale N. D. *L'Aigle Blanc* (Szwajcarya) o kierunku niepodległościowym, *Polen* (Wiedeń) wydaw. przez N. K. N., redag. przez Feldmana *Polnische Blätter* (Berlin), w których zbiegała się kierunki N. K. N. i C. K. N. Łatwo atoli zauważyć, że to nie wystarcza, ile że brak planu łącznego w owej działalności informacyjnej.

Wskutek zainteresowania się Polską, wywołanego przez wojnę, istnieje już pewna liczba edycji książkowych, omawiających niektóre kwestye całokształtu sprawy polskiej.

We Włoszech pisał o nas: wielki przyjaciel Polski i towiańczyk, p. Atilio Begey, mecenas turyński, mieszący w swem mieście odczyty p. t. *Polonia nella storia* i prócz tego bardzo czynny w tamecznym Komitecie *Pro Polonia*. Ponadto zwracali na nas uwagę D'Ancona Alessandro, Arnaldo Fraccaroli, Concetto Pettinato. Natomiast Giorgio d'Acandia, prof. S. Riecherie, dr. Ridolfi opracowali obszernie dzieło p. t. *La Questione polacca*, wydane pod auspicjami medolańskiego komitetu Pro Polonia. Związek *Terza Italia* wystosował do ambasadorów wszystkich państw neutralnych i koalicji rodzaj manifestu w sprawie polskiej. Pan W. Baranowski, jako emisariusz N. K. N., redagował organ niepodległościowy *Ecco della Stampa Polacca*, który przy współudziale pisarzy włoskich wyszedł w trzech NrNr. Oslawiona agencya lożańska wydała w duchu rosyjskim parę NrNr. biuletynu *Agenzia Polacca di Stampa*, wych. w Rzymie.

We Francji sprawy polskie omawiało specjalne wydawnictwo *Renaissance de la Pologne*, posiadające także edycje angielską: *The Resurrection of Poland*. W maju r. b. powstała w Paryżu *Ligue française pour la Pologne libre*. Na czele jej stoja najwybitniejsi osobistości: G. Séailles, prof. Sorbony, Ch. Gide, Działalność „Ligi“ zainicjowanej przez p. E. Privat'a w duchu niepodległościowo-koalicyjnym ma między innemi i zadanie rozszerzania publikacji o Polsce. Ale zdaje się nie dotąd nie wydano.

Prócz wyżej wspomnianych czasopism rusofilskich redagowanych przez p. W. Gąsiorowskiego i A. Potockiego, wychodzą jeszcze w Paryżu dwa pisma niepodległościowo-koalicyjne: *La Pologne aux Polonais* (red. dr. B. Motz) i *Bulletin Polonais* (b. mało wpływ. red. przez prof. Gasztowta). Ponadto pisali: H. Sienkiewicz, J. Kurnatowski, J. Lipkowski, F. Strowski, J. Rettinger — w duchu niepodległościowym.

Prócz specjalnych a nielicznych czasopism bezpośrednio redagowanych przez polaków, bądź przy ich współpracy, pisuje również o Polsce szwajcar Edmond Privat, wielki nasz przyjaciel, który niedawno puścił w świat w edycji książkowej 24 swe artykuły p. t. *La Pologne attend*. Privat rozwija energiczną działalność publicystyczną i odczytowa w Szwajcaryi, zwłaszcza francuskiej, oczywiście, w duchu niepodległościowo-koalicyjnym. Po odczycie w Genewie nawiązanym do aktu z dn. 5 listopada, p. Privat wypowie cykl odczytów pod ogólnym tyt.: „Europa i Polska od rozbiorów“. Odbędą się one w sali Atheneum w Genewie. Uroczyste ich rozpoczęcie nastąpiło prawdopodobnie 10 stycznia r. b. pod przewodnictwem prof. B. Bovier'a. Umiejętnie zorganizowana akcja recenzyjna może przynieść nie małą usługę.

Anglia od początku wojny jest dla sprawy polskiej dziwnie niełaskawa. Oto

w końcu sierpnia r. b. ogłoszono w Cambridge sześć poświęconych Polsce odczytów. Prócz p. R. Dmowskiego odczyty mieli: prof. Bruce Boswell, Alma Tadema i p. Bothay Reynolds. Atoli, „niestety, należy stwierdzić — jak pisze „Echo Polskie“ wedle relacji Wsch. Ag. Tel., — iż akcja ta nie osiągnęła oczekiwanego rezultatu, w kołach szerszej publiczności londyńskiej. Zainteresowanie się bowiem ze strony anglików było dosyć słabe“.

A poza tem prócz broszurki lwowiaka L. Ehrlicha (*Poland, Prussia and culture*), wydanej w „Oxford Pamphlets“, rusofilskiej *Poland* (w „Home University Library“), napisanej r. ub. przez prof. historyi w Dublinie, W. Allissona Philippsa, i książeczki: *Poland, Russia and the war*, której autorką jest Alma Tadema Laurence — o Polsce nie pisano zdaje się nic więcej. Zresztą nie! W prasie toczy się nawet od czasu do czasu kampanię z t. zw. *Polish Irredentism*, czyli ruchem niepodległościowym, Stowarzyszenie zaś polskie w Londynie „*The Polish Information Comitee*“ informuje prasę za pomocą biuletynów *Polish News*; prócz tego „*The P. I. C.*“ wydało szereg rozpraw o Polsce p. t. *Polands Case for Independence*.

Angielskie druki o Polsce wychodzą także w Szwajcaryi, gdzie emigracja polska, prócz rzeczy w rodzimym języku drukowanych, wydaje po francusku odczyty J. hr. Ledóchowskiej np. *La Pologne dévastée*, i niektóre inne druki, jak np. *The Polish Tribune* w Lozannie etc. Tutaj też p. Studnicki wydał w 1915 r. swoje dwie broszurki o kwestyi polskiej p. t. *Raison d'état de la Roumanie et la cause polonaise* i *Raison d'état de l'Italie* et t. p.

Tu wydało też prasowe biuro Rapperswillskie książkę p. M. Lempickiego p. t. *Grand problème international* (1915 r., str. 107). Wydawnictwo La Pologne et la guerre pod red. p. J. Kucharzewskiego drukuje różne rzeczy historyczno-informacyjne p. t. *L'Aigle Blanc*. Oprócz biura prasowego N. K. N., agencji w Rapperswili, „działa“ także agencja lozańska pod patronatem p. E. Piltza.

Zawiazywane w krajach skandynawskich komitety pomocy na skutek inicjatywy hr. Ledóchowskiej i przy jej współudziale, organizując akcyę odczytową, zaznajamiają miejscowych słuchaczy z Polską. Po ogłoszeniu odczytów o Polsce zniszczonej w Kopenhadze i Stockholmie, hr. Ledóchowska zamierza zorganizować specjalne prelekcye w szkołach szwedzkich. W Stokholmie powstało przed paru miesiącami biuro prasowe *Polonia*, o kierunku niepodległościowym. Dotychczasowa działalność informacyjna dość skromna. Biuro organizuje także odczyty o Polsce. Prawdopodobnie będzie wydawać dla Skandynawii miesięcznik o Polsce i polakach. W Kopenhadze prof. E. Luniński niejednokrotnie prostował różne, rzucane między innem przez J. Brandesa, fałszywe na Polskę.

D. N.

Wł. Wolert.



Kontrasty.

Tom okazały a ozdobnie wydany obrazków, wrażeń i nastrojów rzuca na półki księgarskie p. Lola Szereszewska. Są to przeważnie fragmenty i notatki, które mogą służyć za wskazówki, że p. Szereszewska przygotowuje się do zawodu pisarskiego. Z notatek tych wiadać, że autorka zwiedziła duży kawał świata: zna południe i północ, patrzy jednak na ludy i ziemie pod kątem wrażeń mocno indywidualnych, które nie mówią, że p. Szereszewska z obcych kultur bierze dorobki i wysiłki trwałe i twórcze. Obraz zainteresuje autorkę — to go utwali, ale przewalających się nurtów życia jeszcze nie dostrzega w całej rozciągłości. Chyba tylko takie drobne obserwacye, jak to, że młode dziewczęce serce rozmarzone na weselu śni o tkliwości i szczęściu przy boku ukochanego — a ten młody pan myśli wtedy o... lakierkach, co ma być kontrastem bolesnym. Obserwacya ta nawet posiada urok wiosennej primulki, nie wyczerpuje przecież artystycznych możliwości patrzenia na świat i sztukę. Język notatek p. Szereszewskiej jest łatwy i gładki, co każe przypuszczać, że p. Szereszewska wiele czytała, ale też należałoby się wystrzeżać takich neologizmów, jak „bezzmernie“ (Str. 113). Kontrasty zadedykowane są: „Mojemu mężowi“.

Płynące godziny.

Zeszyt skromny prób poetyckich wydała p. Wanda Melcerówna, córka znanego pianisty i kompozytora. Ze zbioru tego można wywnioskować, że p. Melcerówna na polu poezyi stawia sobie poważne zadania do osiągnięcia. Dąży do krystalicznej jasności i prostej formy, chciałaby słowu swemu nadać jaknajwięcej siły ekspresyjnej. Przyrodę odczuwa i widzi autorka też w sposób swoisty. Niepokoi ją jednak najwięcej pieśń nad pieśniami w liryce każdego poety — to miłość. Najładniejszy wiersz zbioru swego p. t. „Inwokacya“ poświęciła p. Melcer p. Zofii Rygier-Nałkowskiej. W „Płynących godzinach“ znajdujemy też przekłady z d'Annunzia i Milтона. P. Melcer załączyła też wiersz swój „l'evocazione“ po włosku oryginalnie napisany i dwa ośmiowersze angielskie „Yesterday“ i „The blessing“.

W awangardzie

Podporucznik piechoty, p. Stefan Pomarański, wydał cykl swoich wspomnień wojennych z bojów odbytych pod dowództwem Piłsudskiego i nazwał je „W awangardzie“. W cyklu tym znajdujemy opis wyjścia z Krakowa w pamiętnym dniu sierpniowym 1914 roku, potyczkę pod Uciskowem, bój anieleński oraz atak nocny na Chyżówkę. Proste te opowieści zalecają się szczerością i faktycznym materiałem, jaki w nich zawarto. Będą dla przyszłości ciekawym komentarzem do walk pierwszej brygady. Boje wyczerpujące przedstawione są z żołnierską dokładnością bez żadnych fantazyowań, bez słów kwiecistych i to stanowi o pięknie opowiadań p. Pomarańskiego.

Wróg wojny.

Na tle przeżyć Warszawy podczas wojny narysował p. Włodzimierz Perzyński swoją najnowszą opowieść o „Wrogu wojny“. Bohaterem jest p. Walicki, znany już czytelnikom Wł. Perzyńskiego, jako lekkomyślny amant, polujący na „Złoty interes“. Zrujnowany przez gwiazdę kabaretową, ożenił się z miłą, zamożną panną z Sosnowca. Wojna rozdzieliła to zakochane małżeństwo. Pani Walicka z papą znalazła się we Włoszech, a p. Walicki-uchodźca zawitał znów na warszawskim bruku. I dostał się w ramiona p. Wiśniakowskiego natychmiast po wyjściu ze stacji kolejowej. Zamieszkał rozumie się u p. Wiśniakowskich. Włóczy się po Warszawie bez celu, odwiedza swoją kuzynkę Broniewiczową, która wyszła za mąż za tego miłego bankiera, co kiedyś subdywował też wdzięki Darskiej. Między p. Broniewiczową a Walickim rozpoczyna się serya westchnień, niewinnych zresztą i wcale beznadziejnych, bo Walicki zainteresował się p. Manią. Na tle tych zabiegów o pannę Manię Wł. Perzyński pokaże, jak różne indywidualia z pod ciemnej gwiazdy robią interesy na wojnie. Przedewszystkiem p. Wiśniakowski, któremu wojna świetnie służy. Służy aż do tego stopnia, że zaczyna rywalizować w zabiegach o wdzięki p. Mani. Wynika z tego nieporozumienie, które mogłoby się skończyć pojedynkiem, gdyby nie pierwszy przypływ wojsk niemieckich pod Warszawę. Wł. Perzyński te chwile świetnie uchwycił. Wszystko się jednak dobrze kończy: wróci p. Broniewicz, panna Mania znajdzie sobie księcia egzotycznego, przyjedzie też i pani Walicka.

Powieść p. Perzyńskiego obfituje w cały szereg scen wysoce zabawnych i złośliwych. Napewno będzie czytana z takim samym zainteresowaniem, jak wszystkie te aktualne felietony, które talent Perzyńskiego sówicie obdarza Warszawę.

